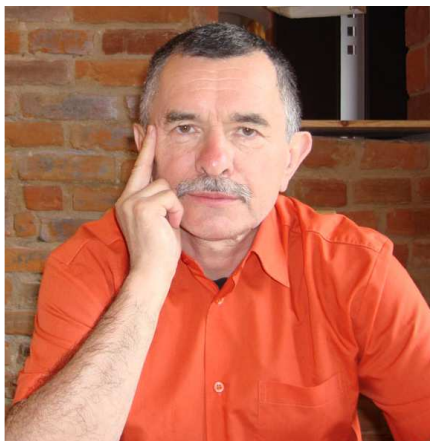


JÓZEF BARAN

Przystanek Marzenie (48)

(fragmenty)



„Koń jaki jest, każdy widzi” – mówi obiegowe powiedzenie. W przypadku amerykańskiego łososia („a salmon”) jest inaczej. Przeglądałem się mu długo przez oszkloną ściankę. Nie miałem jeszcze wtedy pojęcia, jak złożona jest problematyka związana z tą rybą, szczególnie właśnie w tym zakątku Ameryki. Alternatywa: łosoś czy rolnictwo – staje się tu ważną kwestią z pogranicza ekonomii, ekologii a także kultury.

To uparte stworzenie kryje w sobie wiele zdumiewających tajemnic przyrody. Rodzi się w słodkowodnych rzekach, a potem żyje w słonym Pacyfiku. Tam przez kilka lat rośnie, rozwija się, osiągając czasem wiek 10 lat (a długość nawet do półtora metra), by pod koniec życia powrócić do miejsca tarła i – jak to napisał indiański poeta – „umrzeć w swoim domu urodzenia”!

W błękitnym domku na wzgórzu u Leszka Czuchajowskiego przyjemnie jest posłuchać – przy „Finlandii” – opowieści o łosiosie snutej przez profesora informatyki systemów geograficznych, Poznaniaka z urodzenia, Piotra Jankowskiego...

– Istniało co najmniej kilka gatunków łososia – opowiada Piotr – m.in. królewski, srebrny, soho, sokay i chum – czyli najpodlejszy gatunek: „pies”. Wszystkie wracały z oceanu na tarło do miejsce, w którym się urodziły. Ten powrót przebiegał karkołomną trasą liczącą kilkaset mil. Na przykład łosoś z południowo-centralnego Idaho przebywał drogę pod prąd z Pacyfiku do jeziora Red Rsh Lakę – oddalonego o ponad 800 mil, czyli 1300 km. Tam składał ikry, przekazując swoje dziedzictwo następnemu pokoleniu, po czym umierał. Z kolei młode łososie po osiągnięciu kilku centymetrów długości, jako tzw. palczaki, spływały z prądem rzeki do Pacyfiku, by po paru latach odbyć tę samą drogę, ale już pod prąd, skacząc od czasu do czasu nad falami i przeszkodami... Tak było pod koniec XIX wieku w czasach, gdy do Idaho zaczęli przybywać biali osadnicy. Do jeziora docie-

rało naraz około pół miliona ryb, tak że stawało się ono całkiem czerwone od łososi, zmieniających swój kolor w okresie tarła na czerwony (stąd nazwa – Jezioro Czerwonej Ryby). Parę lat temu pojechaliśmy tam z kolegami biologami i doliczyliśmy się raptem trzech łososi. Prawie cały gatunek wyginął z powodu kilkunastu zapór, przegradzających rzeki Columbia i Snake. Odcięto w ten sposób drogę powrotną łososiowi. Aby zaradzić jakoś tej sytuacji, wymyślono przejścia zwane drabiną rybną. Ryby mogą płynąć pod prąd zygzakami i w ten sposób pokonywać sztuczny spadek spowodowany zaporą. Na skutek tego droga łososia wydłużyła się jednak z dwudziestu paru dni do pięćdziesięciu paru. Ryby są przez to znacznie słabsze, kiedy dochodzą na tarło, a i samo tarło jest mniej udane. Wiele osobników ginie, bo nie może znaleźć drogi do miejsca urodzenia...

Piotr opowiada o różnych próbach zaradzenia temu. Przede wszystkim łososie znajdują się pod ścisłą kontrolą, stąd stałe punkty obserwacyjne na zaporach, gdzie się je liczy. Wylawia się też młode łososie i transportuje autami do rzeki w jej dolnym biegu. Powstał nawet specjalny system wylęgu ryb: są sztucznie zapładniane, a po urodzeniu – przewozi się specjalnymi ciężarówkami prosto do ujścia rzeki wpadającej do oceanu, aby skrócić im drogę. Przetransportowano tak od 1980 roku ponad 10 milionów małych ryb! Bardzo pomocne są komputery, które ułatwiają obliczenia związane z migracją ryb. Istnieje pięć technologii umożliwiających powrót ryb do miejsca urodzenia. Trwają badania i prace nad ich ratowaniem i stworzeniem alternatywnych możliwości przekraczania tam. Wszystkie te zabiegi wymagające wielu zachodów nie mają jednak istotnego wpływu na zahamowanie spadku liczebności łososia. W 1997 aż pięć jego rodzajów umieszczono na liście gatunków zagrożonych wymarciem.

Czy nie należałoby wobec tego zburzyć tamy? Niestety, nie jest to możliwe. W tej części Ameryki kwitnie rolnictwo i to właśnie dzięki tamom. Na przykład Waszyngton, nazywany wiecznie zielonym stanem, był kiedyś terenem półpustynnym. Po wschodniej stronie gór znacznie mniej padało niż po zachodniej. Zanim nie spiętrzone rzeki i nie stworzono systemu zbiorników wodnych i kanałów, nic tu prawie nie rosło. Prawdziwy boom nastąpił w latach 30., za prezydentury Roosevelta, który chcąc przezwyciężyć Wielki Kryzys, zatrudnił masy ludzi przy robotach publicznych. Powstał potężny system zapór sięgający od granicy kanadyjskiej aż po ujście rzeki Columbia. Dzięki temu rozwinęło się właśnie rolnictwo. Specjalnością jest tu pszenica, którą wysyła się na rynki światowe, a zwłaszcza wschodnioazjatyckie (od Tajwanu po Koreę i Japonię). Rosną najpiękniejsze i największe w Stanach sady, m.in. wiśniowe i jabłkowe. Oprócz tego dzięki zaporom uzyskuje się czystą energię elektryczną. Około 80

procent pochodzi z hydroelektrowni. Prąd wytwarzany z zapór jest bardzo tani, najtańszy w USA. Tamy i regulacja koryta rzek umożliwiają też transport rzeczny, barki przewożą produkty rolne do portów Pacyfiku. Słowem: rzeka i jej zapory stały się języczkiem u wagi w kilku stanach Pacific Northwest. Gdyby je zburzyć – cały ten system budowany przez 60, 70 lat zacząłby się chwiać. Ludzie straciliby miejsca pracy w portach i nie tylko... Mimo więc, że poważna część naukowców bije na alarm i domaga się zburzenia tam, po to żeby przetrwał łosoś – jest to na razie utopia.

Siedząc przy kominku, medytujemy nad tajemniczymi prawami przyrody. W naszych rozważaniach problem łososia urasta do wymiarów metafizycznych nieomal. Jak to jest, że powraca on po wielu latach i dokładnie odnajduje miejsce, strumień, ba, część strumienia, w którym się urodził? Kto mu to kazał robić? Skąd ten nawigacyjny instynkt, tajemna wiedza, nieprawdopodobna siła przeznaczenia?

Bogusław Żurkowski opowiada o zabawnym filmie, który widział przed wyjazdem do Ameryki. Siedzi sobie leniwy niedźwiedź nad brzegiem rzeki w Alasce, nadstawia pyska, a łososie skaczące przez przeszkodę i czyniące w powietrzu salto mortale wpadają mu do pyska same jak manna z nieba.

– A więc w tym wypadku zawodzi je zmysł samoobronny – śmiejemy się.

– Tak, tak – przytakuje Piotr i dodaje: – Na Alasce nie ma zapór. Łososie mogą tam swobodnie pływać. To ostatni azyl dla tej ryby...

Nie sposób przy kominku nie poruszyć też kwestii smaku łososia, szczególnie gdy się go zajada za smakiem. Piotr, ocierając tłuszcz z brody, emocjonuje się:

– Mój ulubiony przepis na łososia jest następujący. Trzeba zdobyć łososia świeżo złowionego, a więc pojechać nad ocean. Ja jeżdżę z moją rodziną najczęściej do Florence. Jest tam mały port, do którego w sezonie zawijają kutry. Sprzedają głównie srebrnego łososia, ważącego od 10 do 20 funtów. Zawijamy wypatroszonego w grubą aluminiową folię, przedtem oczywiście nie zapominając o dobrym przyprawieniu. Folię kładziemy na przygasające ognisko i opiekamy z każdej strony nie dłużej niż 15 do 20 minut. Po półgodzinie – wyciągamy łososia, odwijamy i... niebo w gębie.

– Receptura dość prosta i niezmienna od wieków – śmiejemy się. – Podobnie przyrządzano ryby w plemieniu Indian Nez Perce. Z tym że nie mieli folii...

Przeczytałem o tym w wierszu współczesnego poety indiańskiego o nazwisku Phil George. Kupiłem sobie jego tomik w muzeum Nez Perce. Autor naprawdę miał typowo indiańskie, bardzo długie i złożone nazwisko: „Dwa stada gęsi jaśniejące nad ciemnymi wodami”.

cdn.